

Fabian Cieślik

redaktor naczelny gdańskiego wydawnictwa MARPRESS

1 września 1991 roku przychodziłem do liceum z pewnym bagażem doświadczeń wyniesionych z SP 15, która w latach 80. uchodziła za dosyć postępową szkołę, idącą pod prąd wszechobecnej peerelowskiej sztywności i ramoty. Atmosfera w SP 15 zawsze była swobodna, uczniowie mieli okazję do rozwoju i wyrażania się poprzez sztukę, literaturę, muzykę. Nigdy nie indoktrynowano nas czy to na języku polskim, historii czy nawet na języku rosyjskim, który w piętnastce wspaniale prowadziła akurat żona dyrektora I LO pani Jadwiga Nowak. Nasi poloniści opowiadali o strajkach i walkach studentów z ZOMO na ulicach Wrocławia, nasi matematycy, fizycy, chemicy, biolodzy zarażali nas swoją pasją do nauki, a muzycy nie katowali komunistycznymi czy wojskowymi pieśniami. Dyrekcja próbowała raz zmusić do chodzenia w kółko korytarza parami podczas przerw, ale nie trwało to długo... z młodymi nauczycielami z 15-tki nie DAŁO się ☺ Jeszcze w Piętnastce zaczęliśmy wydawać z inspiracji naszej plastyczki Ewy Kubackiej szkolną gazetkę, która była istnym dadaistycznym fajerwerkiem, ziszczeniem marzeń kubistów, impresjonistów i innych –istów. Do tego cotygodniowe happeningi gromadziły spragnione sensacji tłumy uczniów ostatnich klas. Byliśmy na tyle dorośli, że mogliśmy swobodnie podejmować i po swojemu przerabiać tematy dojrzewania, pierwszych miłości, a nawet aborcji! Z takimi doświadczeniami pierwszych lat wolności III RP stanąłem w 1991 roku przed wyborem szkoły średniej...

I LO zawsze miało swoją renomę, uchodziło za elitarne, wymagające, trudne do przejścia. Byłem więc jedną z kilku osób z całego rocznika podstawówki, która wybrała akurat to liceum, mimo że wybór spośród raciborskich szkół średnich nie był duży. Moja mama miała niemiłe wspomnienia z czasów swojego II liceum, więc pomimo obaw wygrała Jedyńka. Co ważne, do klasy matematyczno-fizycznej wybierało się paru moich znajomych i czułem, że jeśli się dostanę, to będę w świetnym towarzystwie. Od niedawna w pierwszym LO uczyła też moja matematyczka z podstawówki, pani Gogulska i muszę przyznać, że dzielnie mnie wspierała podczas egzaminu wstępnego z matematyki. Był to dla mnie ogromny stres, bo byłem świadomy, jak ważne będzie ukończenie tak prestiżowego liceum. Po wylosowaniu zadania utknąłem, wprost zablokowałem się nad zagadnieniem trójkątów z zapalek. Pani profesor, znając moje matematyczne umiejętności, cały czas mnie uspokajała, zadawała dodatkowe pytania i tym sposobem udało mi się zadanie rozwiązać, ale nigdy tego nie zapomnę!

Po zdanych egzaminach, a jeszcze przed nowym rokiem szkolnym, nastał wspaniały czas wakacji, totalnego luzu, wolności, beztroski. Nawet wtedy nie próżnowaliśmy jako przyszła klasa matfiz, bo bardzo chcieliśmy się poznać. Pamiętam nasze pierwsze

wycieczki rowerowe do kolegi Zenka z Markowic na przepyszne czereśnie, odwiedziny nowych koleżanek i kolegów z klasy. Zanim usiedliśmy we wrześniu w ławkach, byliśmy już zgraną paczką.

Nie zdawałem sobie wtedy jeszcze sprawy, jak ogromnym awansem społecznym będzie nauka w pierwszym LO. Pochodzę z robotniczej, śląskiej z dziada pradziada rodziny. Moi rodzice ukończyli szkoły zawodowe i podobnie jak moi dziadkowie, z różnych względów nie dane im było uczyć się w liceum, by móc marzyć o studiach. Ja i moje siostry wykorzystaliśmy tę szansę. Te drobne różnice w pochodzeniu czasami było widać w różnych interakcjach między rówieśnikami w klasie, część z nas miała już prawo jazdy i swoje samochody, niektórych stać było na lepsze ciuchy czy wyjazdy za granicę, ale w pewnym momencie kryzys lat 90. uderzył w moją rodzinę i wiele innych wyjątkowo mocno. Nie było nas wtedy stać na wiele rzeczy, czasy hiperinflacji dały się mocno we znaki, ale mimo to wysiłkiem moich wspaniałych rodziców udawało się wysupływać środki na pomoce naukowe, książki, różnorakie klasowe zbiórki i wycieczki. Na szczęście między rówieśnikami te różnice ekonomiczne nie odgrywały większej roli. Ale moja mama wiele razy wspominała, że podczas wywiadówek nasza wychowawczyni mimowolnie lekceważącym tonem komentowała robotnicze czy rolnicze pochodzenie części uczniów. Mama zawsze wracała z tych wywiadówek zniesmaczona, bo myślała, że po 40-tu latach od kiedy sama doznawała upokorzeń w liceum związanych z jej wiejskim pochodzeniem czasy się zmieniły i przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. I w sumie tak też było, nigdy nie było nieporozumień pomiędzy mniej i bardziej zamożnymi uczniami, pomiędzy mieszkańcami miasta czy wsi. No może oprócz czasu dojazdu, bo jednak dojechać wtedy do domu po imprezie poza Racibórz, bez własnego samochodu, było problemem. Za to imprezy organizowane przez naszych rówieśników spod Raciborza były najlepsze! Wszystkie różnice jakoś wyrównywały się w kotle indywidualności, jakim była nasza klasa. Na imprezy chodziła większość klasy, a nawet rocznika, bo muszę przyznać, że nasz cały rocznik miał ze sobą bardzo intensywne kontakty towarzyskie, również poza szkołą, a nawet kontakty z rocznikiem z pozostałych szkół raciborskich, II LO i Liceum Ekonomicznego.

To był okres niebywałego wybuchu wolności, eksplozja pomysłów, nowa rzeczywistość polityczna i społeczna kraju udzielała się wszystkim: nam, rodzicom, nauczycielom, a nawet dyrekcji szkoły, która chcąc nie chcąc musiała przemykać oczy na wiele naszych wybryków i szalonych pomysłów, w tym tych najgłośniejszych „okoł artystycznych”, bo radość z odzyskania przez Polskę suwerenności i poczucia wolności była ogromna.

Nauka w I LO z pewnością nie należała do łatwych, ale mieliśmy szczęście do nauczycieli, których część stanowiła jeszcze stara kadra, w tym prof. Janikowa, prof. Oratur, prof. Knauer oraz świetni młodzi pedagodzy, jak prof. Gogulska, prof. Majewska, prof. Łyczek. Nie mieliśmy za to szczęścia do naszej wychowawczynie, z którą mieliśmy wечно na pieńku. W sumie do dzisiaj trudno mi powiedzieć, czy nas kochała, czy tylko tolerowała. Na pewno nie było między nami „sztamy”, tej nici porozumienia, ba, nawet szacunku. Piszę te słowa smutny, ale niestety taka była rzeczywistość, już wtedy zdawaliśmy sobie sprawę, że nie wszystko w życiu jest takie idealne. Na radach pedagogicznych często za nami wstawiali się inni nauczyciele. Za to nasza wychowawczynie wprowadzała atmosferę niezdrowej rywalizacji pomiędzy uczniami. Ale muszę przyznać że w jednym miała rację, tzn. stawiała na integrację poprzez wspólne wyjazdy na wycieczki. Mało która klasa jeździła tyle co nasza, więc paradoksalnie nasza wychowawczynie była autorką sukcesu - zgrania naszej ekipy, którą scementowały wspólne wyjazdy oraz codzienny front oporu przeciw metodom wychowawczym naszej wychowawczynie.

Naszą „wychowawczynią zastępczą” była za to prof. Janikowa, która jako opiekunka samorządu uczniowskiego zawsze nas wspierała, chroniła nasze niepokorne dusze, tłumaczyła w nieskończoność przed dyrekcją i radą pedagogiczną. Wiem, że czynili to i inni nauczyciele. Dlatego podczas słynnego strajku nauczycieli w 2019 na hasło hashtag #pochwalsieswoimnauczycielem postanowiłem podzielić się ze znajomymi wspomnieniem o prof. Janikowej:

Wspaniała polonistka, opiekunka samorządu uczniowskiego. To Ona stawiała w obronie naszych ciągłych ekscesów przed radą pedagogiczną i dyrekcją szkoły, dbała o wolność prasy uczniowskiej i swobody wypowiedzi w naszym szkolnym kabarecie, oprowadzała po świecie teatru. Z perspektywy tych dwudziestu paru lat po skończeniu I LO w Raciborzu widzę, że wywarła na całą moją klasę ogromny wpływ. Zaszczepiła w nas to ciągle zainteresowanie literaturą, sztuką, światem, innym wokół nas. Zachęcała nas do prowadzenia lekcji - najzdolniejsi prowadzili lekcje o sztuce, opowiadając o swoich pasjach nie tylko literackich. U profesor Janikowej lektury obowiązkowe były tylko z nazwy - chłonęliśmy wszystko to co najlepsze z danej epoki. To dzięki niej dzisiaj jestem wydawcą. Dziękuję Pani Profesor!

Takim opiekunem i dobrym aniołem był też śp. Maestro Piotr Libera, który potrafił nasze rogate dusze zapędzić do szeregu i namówić do regularnego chodzenia na próby, na koncerty i regularne wyjazdy, co kosztowało nas mnóstwo czasu i wysiłku! A jednak wspaniałe towarzystwo współśpiewaków, atmosfera na próbach i wyjazdach, a także smak konkursowych wygranych czy porażek wzmacniał koleżeńskie więzi.

Szybko przestaliśmy się „bać” szkoły. Stała się naszym domem, z młodymi nauczycielami, ale też z częścią starszych, mieliśmy świetny kontakt osobisty przez

cały okres liceum. Z każdym kolejnym rokiem ten dystans był krótszy. Dziś po latach jesteśmy z wieloma na „ty”, spotykamy się na rocznicach, zaglądamy do szkoły, podziwiamy zachodzące w niej zmiany. Pomimo tego, że bardzo dużo wymagali, mieliśmy ogromną do nich sympatię (chyba z każdym i z każdą z nich byliśmy na jakiejś wycieczce klasowej).

Ponieważ do I LO przyszli razem ze mną inni koledzy z SP 15, w tym ci, z którymi w podstawówce wydawaliśmy szkolną gazetkę, natychmiast uruchomiliśmy na szkolnym ksero wydawanie naszej nowej gazetki „Wejście Ewakuacyjne”. Nie pamiętam już, ile to było numerów, kosztowały chyba złotówkę, a za zarobione pieniądze finansowaliśmy przeróżne akcje samorządu uczniowskiego: a to organizację walentynek, a to dyskoteki szkolnej. Zaraz po ukazaniu się naszej gazetki powstało parę konkurencyjnych. Niekończące się debaty na łamach tych gazetek, podbieranie sobie co cenniejszych autorów, prześciganie się na ciekawostki i wywiady z najbardziej lubianymi nauczycielami, bo to były czasy przedinternetowe i przedkomórkowe! Absolutnie analogowe, bo tylko część tekstów powstawała na komputerze, reszta była pisana ręcznie, tak jak cała grafika - rysowana, malowana, wyklejana i wycinana. Ostatnio na 70-lecie szkoły przeglądałem kronikę szkolną i znalazłem tam pierwszy numer naszej gazetki wraz z surową, ale zachęcającą do dalszej pracy recenzją jednej z polonistek, ależ się wzruszyłem! ☺

Profesor Łyczek też potrafił nas zdyscyplinować, historię podobnie jak geografię mieliśmy wykutą na blachę! Ale też prof. Łyczek potrafił nas historią zainteresować, czasami nawet rozbawić, bo prowadziliśmy niekończące się surrealistyczne konwersacje będące de facto dygresjami w nasze historie rodzinne, naszych przodków i naszej różnobarwnej historii. To dzięki profesorowi Łyczkowi zadałem w końcu dziadkom te trudne pytania o drugą wojnę światową. Pisaliśmy wtedy pracę na ten temat, gromadziliśmy zdjęcia, prowadziliśmy wywiady z członkami rodziny. Bardzo to było wzruszające. Zarówno część klasy, która była z autochtonicznych rodzin, w ym moja, jak i ci, których dziadkowie przyjeżdżali do Raciborza pociągami z Polskich Kresów mieliśmy dziesiątki niesamowitych rodzinnych opowieści.

Jednym z najlepiej prowadzonych przedmiotów z pewnością była geografia u prof. Majewskiej. Gdyby zajrzeć do średniej ocen z czterech lat geografii w naszej klasie, byłoby to z pewnością więcej niż 3,5 a może nawet blisko 4. Geografię umieliśmy śpiewająco, tak bardzo, że sporo z nas wybrało na studiach ekonomię, gdzie wtedy na egzaminach wstępnych zdawało się oprócz matematyki również geografię. To na geografii prof. Majewska wyczarowywała nam świetne filmy przyrodnicze, była naszą Wikipedią i YouTubem w jednym!

Nigdy nie zapomnę łez wylanych nad nauką angielskiego. Dyscyplina u prof. Oratura była wprost niewyobrażalna, chociaż i tak legendy, które krążyły wśród uczniów nie sprawdzały się do końca. Ale słynne karniaki okazały się być prawdą (sprawdzanie znajomości czasowników nieregularnych, gdy profesor sprawdzał jedynie 5 zeszytów z grupy i jeśli znalazł się tam chociaż jeden błąd, to ta osoba dostawała niedostateczny, a reszta nic i trwało to tak długo, dopóki wszystkie wybrane zeszyty nie były bezbłędne). Nasz maraton trwał tylko 2 tygodnie, a były ponoć i takie kilkumiesięczne. Ślęczałem więc dzień w dzień po lekcjach w domu nad listą czasowników angielskich, a łzy kapały z wyczerpania na kartkę brudnopisu... Ale opłacało się, dziś cała nasza klasa zna angielski śpiewająco.

W latach 90. istniały jeszcze prawdziwe granice i wyjazd do Pragi był sensacją, podobnie jak wymiana uczniowska z Niemcami i Francją, a zupełnym kosmosem były wyjazdy na chóralne tournée do Szwajcarii czy Niemiec! Dlatego myślę, że duży wpływ na mój rozwój miał Maestro Piotr Libera i śpiewanie w chórze szkolnym Strzecha. Była to okazja do zawiązania wspianiałych wieloletnich przyjaźni, wyrobienia dyscypliny, pracy w zespole, która procentuje do dzisiaj, a którą miałem potem okazję kontynuować w chórze Politechniki Wrocławskiej, którego byłem wieloletnim prezesem. Była to okazja do poznania moich śląskich korzeni, poznania przepięknych pieśni, również ludowych, które śpiewały moje babcie i dziadkowie. Wreszcie nadszedł czas, że nikt swojej śląskości nie musiał się wstydić. Przychodząc do I LO wiedziałem, że chór to świetna sprawa, że wyjeżdżają, że koncertują, że nauczyciele jednak patrzą przychylniejszym okiem na chórzystów, którzy bądź co bądź niosą w świat naszą raciborską kulturę ludową i dobre imię I LO.

W szkole nie było fali, nie było fuksówki, chociaż o tym się opowiadało. Chyba wszyscy byli zajęci i zachłyśnięci wolnością, nowym państwem, przemianami społecznymi i politycznymi. Rosło gwałtownie bezrobocie, dużo się działo wokół nas i nie pamiętam, by akurat nasza klasa bardzo się politycznie angażowała. Nauka i zabawa pochłaniały nas na całego!

Nie pałaliśmy zbyt religijnością, a zajęcia z religii ze świeżo upieczonym księdzem były kompletną porażką. Nie mogliśmy jeszcze wtedy wybrać opcji niechodzenia na religię i nasz młody katecheta zupełnie sobie z nami nie radził. Nie odpowiadał na pytania, wątpliwości, być może czasami zbyt podchwytliwe i złośliwe, więc w pewnym momencie przestaliśmy po prostu marnować czas i w maturalnej klasie prawie cała klasa dokonała swoistego szkolnego aktu „apostazji”. Wiele lat potem dowiedziałem się, że gdy doszło do wystawiania świadectw maturalnych, nasza wychowawczyni wybrała się do księdza z pretensjami i rzuciła mu prosto w twarz, że to jego problem, że sobie z nami nie poradził i że nie wyobraża sobie, by

w towarzystwie naszych czwórek, piątek i szóstek tkwiły na świadectwach smętne tróje i dwóje z religii. Ksiądz więc nie miał wyboru...

Byliśmy zgraną paczką, prowadzoną przez wybitne grono pedagogiczne, które tworzyło atmosferę naukowej sztammy i patrzenia w przyszłość. W szkole nie było również polityki. Panowała absolutna wolność wyrażania się uczniów na gazetkach ściennych czy drukowanych, szkolnych teatrach i kabaretach, lekcjach wychowawczych i pogadankach. Ferment wtedy zasiany do dzisiaj przynosi owoce. Takimi nas stworzono w I LO – niepokornych, otwartych na świat, stawiających pytania, poszukujących odpowiedzi, uśmiechających się do innych ludzi, optymistycznie patrzących w przyszłość.

W 3. i 4. klasie przyszedł czas świętowania formalnej dorosłości... Seria 18-tek trwała nieprzerwanie przez ponad rok. Jeżdżenie po całym powiecie raciborskim, od imprezy do imprezy, od weekendu do weekendu, pierwszymi samochodami, z pierwszymi miłościami, pocałunkami, wypitymi drinkami i piwami. Rytuały dorosłości musiały zostać spełnione, aura zakazanego owocu rozwiana. Racibórz był w całości naszym miastem, naszym centrum wszechświata. Zdobywaliśmy go dzień i noc, by po czterech latach rozpiezchnąć się na cztery strony świata. Wtedy jeszcze nie tak daleko, bo do Wrocławia, Krakowa, Warszawy. Ale po studiach część wybrało jednak dalszą emigrację. Mamy dzisiaj naszych ludzi w USA, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Holandii, a nawet w Nowej Zelandii! Na szczęście część z nas wróciła do Raciborza, by tutaj założyć rodzinę, firmę, pracować dla naszego pięknego miasta, by chociaż trochę pójść na przekór trendom i wzmocnić społeczność lokalną, nie dać się wypędzić za chlebem.

Matura przeminęła bardzo szybko, ale jeszcze dziś, po tylu latach potrafi mi się przyśnić, jak to skrobię wypracowanie z języka polskiego albo jak to męcę się nad zadaniem z matematyki. Bywa, że śni mi się, jak chodzę znowu do liceum i prawie po gombrowiczowsku, przez całą noc dziwię się, czemuż to znowu jestem w szkole? Pamiętam to napięcie w oczekiwaniu na maturalne wyniki, potajemny kontakt z nauczycielami, by dowiedzieć się, czy zdane. Wreszcie odbiór świadectw i otwieranie nowych rozdziałów na uczelniach w całej Polsce. Wybrałem Politechnikę Wrocławską, gdzie trafiło 16 osób z 39-osobowej klasy, poza tym Kraków, Warszawa, Opole, Gliwice i Katowice. Przez całe studia kursowaliśmy pomiędzy miastami, od imprezy do imprezy, bo licealne więzi były mocne. Tak mocne, że obowiązkowe stały się nasze zjazdy z okazji pięcioletnich maturalnych rocznic, łącznie z tegoroczną już 25-tą...